

ARTHUR CONAN DOYLE

PRZYGODA W PUSTYM DOMU

THE ADVENTURE OF THE EMPTY HOUSE
PRZEŁOŻYŁA DOROTA KRAŚNIEWSKA

Wiosną roku 1894 cały Londyn był poruszony, a wyższe sfery przerażone, zabójstwem sir Ronalda Adaira, dokonanym w okolicznościach nader dziwnych i nie wyjaśnionych. Pewne szczegóły tej zbrodni, wykryte podczas śledztwa, podano do publicznej wiadomości. Resztę policja zachowała, dla siebie, ponieważ sąd uznał, że przedstawione dowody są tak niepodważalne, iż nie ma potrzeby dostarczania innych. Dopiero teraz, po dziesięciu z górą latami, pozwolono mi ujawnić tamte brakujące fakty, które razem tworzą zadziwiający ciąg zdarzeń. Już sama zbrodnia była intrygująca, lecz nawet w części nie poruszyła mnie tak, jak owe wydarzenia. Z czymś takim nie spotkałem się jeszcze nigdy w moim dość urozmaiconym życiu. Nawet dziś, po tylu latach, na myśl o tym dostają dreszczy i ogamia mnie, jak i wtedy, uczucie radości, zdumienia i niedowierzania. W tym miejscu chciałbym się zwrócić do tych czytelników, którzy wykazali zainteresowanie publikowanymi przeze mnie od czasu do czasu zapiskami o poczynaniach i rozmyślaniach pewnego wyjątkowego człowieka i prosić ich, by wybaczyli mi, iż wcześniej nie podzieliłem się z nimi wiadomościami o tej sprawie. Zrobiłbym to bez wahania, gdyby nie wyraźny zakaz, jaki otrzymałem z ust owego człowieka, który to zakaz został cofnięty dopiero trzeciego dnia zeszłego miesiąca.

Nietrudno sobie wyobrazić, że dzięki bliskiej przyjaźni z Sherlockiem Holmesem, zainteresowałem się światem przestępczym. A po zniknięciu Holmesa pilnie śledziłem wszystkie głośne sprawy. Dla własnej satysfakcji próbowałem je nawet rozwiązywać, stosując jego metodę dedukcji, lecz rezultaty miałem marne. Żadna ze spraw nie poruszyła mnie jednak do tego stopnia, co tragedia Ronalda Adaira. Czytając sprawozdanie ze śledztwa, po którym sąd orzekł werdykt o popełnieniu morderstwa z premedytacją przez jakiegoś nieznanego osobnika lub osobników, bardziej niż kiedykolwiek zdałem sobie sprawę, jak wielką stratę poniosło nasze społeczeństwo z powodu śmierci Sherlocka Holmesa. Jestem pewien, że kilka aspektów owej dziwnej sprawy bardzo by go zainteresowało. A dzięki przenikliwości i bystrości umysłu tego pierwszego detektywa Europy, policji zaoszczędziłoby się wiele trudu. Przez cały dzień, odbywając moje zwykłe wizyty, rozmyślałem nad tą sprawą, lecz żadne zadowalające rozwiązanie nie przyszło mi do głowy. Rzykując, że się powtarzam, przytoczę jeszcze raz wszystkie fakty ujawnione publicznie pod koniec śledztwa.

Ronald Adair był drugim synem księcia Maynooth, w owym czasie gubernatora jednej z australijskich kolonii. Matka Adaira przyjechała z Australii na operację katarakty i wraz z synem Ronaldem oraz córką Hildą zamieszkała na Park Lane pod numerem 427. Młody Adair obracał się w najlepszym towarzystwie i, jak się zdawało, nie miał żadnych wrogów ani żadnych szczególnych wad. Był zaręczony z panną Edith Woodley z Carstairs, lecz zaręczyny zostały zerwane za obopólną zgodą kilka miesięcy wcześniej i nic nie wskazywało na to, by któreś z nich szczególnie to przeżyło. Z natury spokojny i opanowany, Ronald wiódł życie dość jednostajne w wąskim gronie znajomych. A jednak temu młodemu, pogodnemu arystokracie pisana była śmierć. Dosięła go nieoczekiwanie, nocą 30 marca 1894 roku między godziną dziesiątą a jedenastą dwadzieścia.

Ronald Adair lubił karty. Grał bardzo często, lecz nigdy nie ryzykował zbyt wysokich stawek. Był członkiem klubów karcianych „Baldwin”, „Cavendish” i „Bagatelle”. Śledztwo wykazało, że po obiedzie, w dniu swojej śmierci rozegrał w tym ostatnim partię wista. Na grze upłynęło mu całe popołudnie. Zeznania pozostałych graczy — pana Murraya, sir Johna Hardy’ego i pułkownika Morana — potwierdziły, że grał w wista i stawki były niskie. Adair mógł przegrać najwyżej około pięciu funtów. Taka kwota była niczym w porównaniu z jego fortuną. Zwykle grał co wieczór w którymś z klubów, lecz zawsze bardzo ostrożnie i przeważnie wstawał od stolika jako zwycięzca. W trakcie dochodzenia okazało się, że kilka tygodni wcześniej w parze z

pułkownikiem Moranem wygrali aż czterysta dwadzieścia funtów od Godfrey'a Milnera i lorda Balmorala. Tyle o ostatnich tygodniach jego życia ujawniło śledztwo.

W dniu swojej śmierci wrócił z klubu dokładnie o dziesiątej wieczorem. Matka i siostra były na jakimś przyjęciu u krewnych. Służąca zeznała, iż słyszała, jak Adair wszedł na piętro do pokoju, w którym zwykle przyjmował gości. Przed jego przyjściem napaliła w kominku, a ponieważ sporo przy tym nadymiła, otworzyła szeroko okno. Żaden dźwięk nie dochodził z pokoju aż do jedenastej dwadzieścia, kiedy to wróciła lady Maynooth z córką. Chciała powiedzieć synowi dobranoc, lecz drzwi były zamknięte od wewnątrz. Stukania i wołania pozostały bez odpowiedzi. Wezwano pomoc i wyważono drzwi. Ciało nieszczęsnego młodzieńca leżało obok stołu. Kula rewolwerowa zmasakrowała mu tył głowy. W pokoju nie było jednak żadnej broni. Na stole leżały dwa dziesięciofuntowe banknoty i siedemnaście funtów, z czego dziesięć w srebrze i złocie. Monety były ułożone w nierówne kupki. Na kartce obok widniały nazwiska klubowych przyjaciół Adaira, a przy nich jakieś liczby. Najwyraźniej, tuż przed śmiercią rozliczał się z karcianych długów lub wygranych.

Już wstępne oględziny miejsca zbrodni wykazały, że sprawa była niezwykle skomplikowana. Przede wszystkim, czemu młody Adair zamknął się od wewnątrz? Istniała możliwość, że zrobił to morderca, a potem uciekł przez okno. Tylko że wtedy musiałyby skoczyć z wysokości co najmniej dwudziestu stóp na klomb kwitnących krokusów. Jednak ani na klombie, ani na wąskim pasie trawy oddzielającym dom od drogi, nie było żadnych śladów. Wszystko wskazywało więc na to, iż Adair zamknął się sam. Jak wobec tego zginął? Nie można było wdrapać się do pokoju przez okno bez zostawienia śladów na murze. Przypuśćmy, że ktoś strzelał przez okno. Musiałby oddać zaiste mistrzowski strzał, by z takiej odległości przy pomocy rewolweru zadać tak straszną ranę. Poza tym, Park Lane jest ruchliwą ulicą, a sto metrów od domu znajdował się postój taksówek. Nikt nie słyszał strzału. A jednak był martwy człowiek, była kula rewolwerowa, która jak pocisk karabinowy rozerwała tył głowy ofiary, powodując natychmiastową śmierć. Tyle wiadomo o Tajemnicy Park Lane. Brak motywu zbrodni komplikował sprawę jeszcze bardziej. Jak już wspomniałem, młody Adair nie miał wrogów, a z pokoju nic nie zginęło.

Cały dzień rozmyślałem o tych faktach. Próbowałem pogodzić je ze sobą, idąc po linii najmniejszego oporu. Mój zmarły przyjaciel uważał taką taktykę za punkt wyjściowy każdego śledztwa. Muszę przyznać, że rezultaty miałem nikłe. Po południu przeszedłem się po Hyde Parku i o szóstej znalazłem się na rogu Oxford Street i Park Lane. Bez trudu trafiłem pod dom, który mnie interesował, ponieważ stała przed nim grupka gapiów, wszyscy wpatrzeni w jedno okno. Skupili się wokół wysokiego, chudego człowieka w ciemnych okularach — pewnie tajniaka — który przedstawiał im swoją wersję niedawnych wydarzeń. Przysłuchiwałem się temu z niesmakiem, bowiem jego absurdalne argumenty były obrazą dla ludzkiej inteligencji. Cofając się, wpadłem na starszego, przygarbionego człowieka, który stał tuż za mną. Wytrąciłem mu z rąk kilka książek. Pamiętam, że zbierając je, zauważyłem jeden z tytułów — „Pochodzenie kultu drzewa”. Biedak był pewnie jakimś postrzelonym bibliofilem, który sprzedawał lub kolekcjonował dziwaczne pozycje. Zacząłem go przeproszać. Najwyraźniej jednak książki te, które nieświadomie zbezczeszciliśmy, stanowiły dla niego wyjątkową wartość, bowiem odburknął coś gniewnie i odwrócił się na pięcie. Zdażyłem dojrzeć jedynie jego przygarbione plecy i siwe bokobrody.

Oględziny domu pod numerem 427 niewiele mi dały. Od ulicy oddzielał go niski murek i płot nie przekraczający pięciu stóp. Przedostanie się do ogrodu nie nastęczało więc nikomu większych trudności. Jednak okno okazało się całkowicie niedostępne. Dom nie miał nawet rynny, po której można by się wspiąć. Nic już z tego wszystkiego nie rozumiałem. Postanowiłem wrócić do Kensington. Ledwie zdażyłem usiąść w moim gabinecie, kiedy służąca oznajmiła, że

ktoś chce się ze mną widzieć. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu, zobaczyłem przed sobą ni mniej, ni więcej tylko owego zwariowanego bibliofila. Spod strzechy siwych włosów wyglądała pomarszczona twarz o ostrych rysach. Pod pachą dźwigał z tuzin książek.

— Mój widok zapewne pana zaskakuje, sir — odezwał się dziwnym, skrzeczącym głosem.

Przyznałem mu rację.

— Ja też mam sumienie, sir, i kiedy kuśtykając za panem, zobaczyłem, że wszedł pan do tego domu, pomyślałem sobie, że wstąpię na chwileczkę i powiem temu miłemu dżentelmenowi, że choć ze mnie gbur, to nie chciałem go urazić, i podziękuję za pozbieranie moich książek.

— Zbyt się pan przejął taką drobnostką — powiedziałem. — Czy mogę zapytać, skąd pan wiedział, kim jestem?

— No cóż, sir, jestem pańskim sąsiadem, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Mam małą księgarnię na rogu Church Street. Będę szczęśliwy, jeśli zaszczyci mnie pan odwiedzinami. Czyż nie kolekcjonuje pan własnych dzieł? Proszę, oto „Ptaki Brytanii”, „Catullus” i „Święta wojna” — każda po okazyjnej cenie. A te pięć tomów wypełni panu tę dużą lukę na drugiej półce. Zaiste, sprawia ona wrażenie nieporządku. Chyba się pan ze mną zgodzi?

Spojrzałem na stojącą za mną półkę. Kiedy się ponownie odwróciłem do gościa, zobaczyłem przed sobą roześmianą twarz Sherlocka Holmesa. Poderwałem się na równe nogi i całkiem osłupiały patrzyłem na niego przez chwilę. Potem musiałem chyba zemdleć, po raz pierwszy i ostatni w życiu. Coś szarego zawirowało mi przed oczami i kiedy się ocknałem, miałem rozluźniony kołnierzyk, a w ustach smak brandy. Nade mną pochylał się Holmes ze swoją piersiówką w dłoni.

— Mój drogi Watsonie — usłyszałem dobrze znany głos. — Jestem ci winien tysiączne przeprosiny. Nie miałem pojęcia, że aż tak to przeżyjesz.

Chwyciłem go za ramię.

— Holmesie! Czy to naprawdę ty? A więc żyjesz? Jak ci się udało wydostać z tej przepaści?

— Spokojnie, powoli — rzekł Holmes. — Czy aby jesteś pewien, że możemy teraz o tym rozmawiać? Mój nazbyt dramatyczny powrót okazał się dla ciebie takim wstrząsem.

— Już wszystko w porządku, ale dalibóg, Holmesie, trudno mi uwierzyć własnym oczom! Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego, że ujrzę cię jeszcze żywego w moim gabinecie. — Ponownie chwyciłem go za rękaw i wyczułem pod spodem jego chudą, żyłastą rękę. — Przynajmniej wiem teraz, że nie jesteś duchem. Mój drogi przyjacielu, co za radość znów cię widzieć! Usiądź i opowiadaj, jak uszedłeś z życiem z tej strasznej czeluści.

Siadł naprzeciw mnie i w ten sam co dawniej, nonszalancki sposób zapalił papierosa. Ze stroju księgarza pozostał mu tylko podniszczony surdut. Reszta leżała na stole obok siwej peruki i starych książek. Holmes był szczupły i żwawy jak dawniej, lecz jego orla twarz miała jakiś szary odcień, z czego wywnioskowałem, że ostatnio prowadził niezbyt zdrowy tryb życia.

— Nareszcie mogę rozprostować kości, Watsonie — odetchnął z ulgą. — Zapewniam cię, że niełatwo zmniejszyć się o całą stopę i wytrzymać tak parę godzin. A do tego wszystkiego, mój drogi przyjacielu, mamy przed sobą — jeśli oczywiście mogę liczyć na twoją współpracę — pracowitą i niebezpieczną noc. Może lepiej opowiem ci o wszystkim już po zakończeniu dzisiejszej akcji.

— Nie posiadam się z ciekawości. Przyznam, iż wolałbym usłyszeć o wszystkim już teraz.

— A czy pomożesz mi tej nocy?

— Jak i kiedy zechcesz, Holmesie.

— A więc wszystko jak za dawnych lat. Zostało nam jeszcze trochę czasu na zjedzenie dobrej kolacji. A co do tej przepaści, to nie miałem większych problemów z wydostaniem się z niej, z tej prostej przyczyny, iż nigdy w nią nie spadłem.

— Nie spadłeś ?

— Nie, Watsonie. Lecz mój list do ciebie był autentyczny. Kiedy u wylotu wąskiej ścieżki nad przepaścią ujrzałem groźną postać świętej pamięci profesora Moriarty’ego, zagradzającą mi drogę powrotu, zrozumiałem, że moja kariera dobiegła końca. Jego szare oczy były nieubłagane. Po krótkiej rozmowie zgodził się łaskawie, bym napisał do ciebie liścik, który później otrzymałeś. Pozostawiłem go na ścieżce wraz z papierośnicą i laską, a sam ruszyłem dalej. Moriarty deptał mi po piętach. Wreszcie doszedłem do miejsca, w którym ścieżka kończyła się pionową skałą, i stanąłem osaczony jak zwierzę. Nie wyciągnął żadnej broni. Po prostu rzucił się na mnie z gołymi rękami. Zdawał sobie sprawę, że gra skończona, i postawił wszystko na jedną kartę. Siłowaliśmy się jakiś czas nad samym skrajem przepaści. Znam trochę baritsu, japoński system walki wręcz, co przydało mi się już niejednokrotnie w różnych sytuacjach. Zrobiłem umiejętny unik i Moriarty stracił równowagę. By ją odzyskać, zaczął machać w powietrzu rękami. Nadaremnie jednak. Zachwiał się i spadł w przepaść. Wychylony nad jej brzegiem patrzyłem, jak leciał. Uderzył o wystającą skałę, odbił się od niej i wpadł do wody.

Holmes zaciągał się od czasu do czasu papierosem, a ja z coraz większym zdumieniem słuchałem jego opowieści.

— Ale ślady! — krzyknąłem. — Widziałem na własne oczy, że ślady stóp dwóch osób prowadziły tylko w jednym kierunku — tam, gdzie kończyła się ścieżka.

— Zaraz ci to wyjaśnię, Watsonie. Chwilę po wypadku profesora uświadomiłem sobie, jaką niezwykle szansę zgotował mi los. Wiedziałem, że nie tylko Moriarty zaprzysiągł mi zemstę. Zostało jeszcze co najmniej trzech ludzi, którzy pragnęli mojej zguby, a śmierć ich szefa jeszcze wzmogła to pragnienie. Wszyscy byli bardzo groźni i prędzej czy później któryś by mnie dopadł. Z drugiej strony, gdyby świat uznał mnie za zmarłego, ludzie ci staliby się mniej ostrożni i w końcu rozprawiłbym się z nimi. Potem pojawiłbym się znów w świecie żywych. Wszystkie te myśli z szybkością błyskawicy przebiegły mi przez głowę, zanim jeszcze ciało profesora Moriarty’ego spoczęło na dnie Wodospadu Reichenbacha.

Wstałem, by przyjrzeć się ścianie skalnej, na której kończyła się ścieżka. W twojej malowniczej relacji, Watsonie, którą przeczytałem z wielką uwagą kilka miesięcy później, podajesz, że ściana była całkiem gładka. A jednak nie do końca. Spozrzegłem kilka wgłębień wystarczających do oparcia stóp i nieco wyżej — zarys półki skalnej. Urwisko było tak wysokie, iż wspinaczka na samą górę zdawała się niepodobieństwem. Równym niepodobieństwem był powrót ścieżką bez zostawienia śladów. Mógłbym oczywiście odwrócić buty tyłem do przodu, jak to już robiłem przy innych okazjach, lecz ślady trzech osób prowadzące w jednym tylko kierunku od razu wzbudziłyby podejrzenia. Jedyne, co mi pozostało, to wspinaczka. Zapewniam cię, Watsonie, nie sprawiło mi to przyjemności. W dole ryczał i kłębił się wodospad. A mnie wydawało się — choć jak wiesz, wyobraźnia rzadko mnie ponosi — że słyszę krzyk Moriarty’ego dochodzący z otchłani. Każdy błąd mogłem przypłacić życiem. Parokrotnie, kiedy kępki trawy pozostawały mi w garści lub noga ześlizgiwała się po skale, myślałem, że to koniec. Piałem się jednak wytrwale, aż wreszcie trafiłem na obszerną niszę zarośniętą miękkim, zielonym mchem. Stanowiła świetną kryjówkę. Leżałem sobie wygodnie, słuchając, jak ty, mój drogi Watsonie, i cała reszta, z przejęciem, lecz nieumiejętnie badacie okoliczności mojej śmierci.

W końcu, kiedy już doszliście do nieuniknionych, acz całkiem błędnych wniosków, wróciliście do hotelu. A ja zostałem sam. Tak mi się przynajmniej początkowo wydawało. Kiedy już sądziłem, że cała przygoda dobiegła końca, nastąpiło coś całkiem nieoczekiwanego. Ogromny blok skalny przeleciał tuż koło mnie, odbił się od ścieżki i poszybował w przepaść. Przez chwilę myślałem, że to przypadek, ale kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem na tle

ciemniejącego nieba czyjaś głowę i kolejny głaz spadł na półkę skalną, gdzie leżałem, niedaleko mojej głowy. Najwyraźniej Moriarty nie był sam. Wystarczył mi jeden rzut oka, by zorientować się, jak niebezpiecznym człowiekiem był jego współnik. Stał na straży, gdy profesor mnie zaatakował. Z ukrycia widział śmierć przyjaciela i moją wspinaczkę. Odczekał, po czym wszedł na szczyt od drugiej strony i usiłował zrobić to, co nie udało się jego współnikowi.

Nie miałem zbyt wiele czasu do namysłu, Watsonie, ponieważ złowroga twarz znów się pokazała, zwiastując kolejny głaz. Jakimś cudem udało mi się wrócić na ścieżkę. Nigdy bym się na to nie odważył w normalnych okolicznościach, gdyż zejście było tysiąc razy trudniejsze od wspinaczki. Nie zastanawiałem się jednak nad tym, ponieważ następny kamień przeleciał tuż obok, kiedy zwieszałem się z krawędzi skalnej półki. Ręce nie wytrzymały i spadłem. Potłuczony i poraniony wylądowałem jakimś cudem na ścieżce. Na piechotę przebyłem w ciemnościach dziesięć mil. Tydzień później znalazłem się we Florencji. Wiedziałem, że nikt na świecie nie ma pojęcia o moich losach.

Zrobiłem wyjątek dla jednej tylko osoby — mojego brata Mycrofta. Winien ci jestem przeprosiny, mój drogi Watsonie, lecz bardzo mi zależało, aby wszyscy uważali mnie za zmarłego. A jestem pewien, że gdybyś znał całą prawdę, twój raport o moim tragicznym końcu nie byłby aż tak przekonywający. Kilkakrotnie podczas ostatnich trzech lat sięgałem po pióro, by do ciebie napisać, lecz za każdym razem przeważała obawa, iż wiedziony sympatią do mnie, popełnisz jakąś niedyskrecję i wszystko się wyda. Z tego też powodu odwróciłem się od ciebie tak raptownie, kiedy wytrąciłeś mi książki. Byłem w niebezpieczeństwie, a twoja reakcja na mój widok mogłaby skierować na mnie uwagę innych. Skutki tego mogłyby się okazać zaiste oplakane. Z Mycroftem musiałem się skontaktować, gdyż potrzebne mi były pieniądze. Dalsze wypadki w Londynie nie potoczyły się tak, jakbym tego chciał. W wyniku procesu gangu Moriarty'ego, dwóch jego członków, moich zażartych wrogów, pozostało na wolności. Przez dwa lata podróżowałem więc po Tybecie. Odwiedziłem Lhasę i spędziłem kilka dni z głównym lamą. Być może czytałeś o niezwykłych wyprawach Norwega Sigersona, ale z pewnością nawet przez myśl ci nie przeszło, że były to relacje o twoim przyjacielu. Następnie przenieśliśmy się do Persji, odwiedziłem Mekkę i złożyłem krótką, acz interesującą wizytę kalifowi w Chartumie. O jej rezultatach powiadomiłem Foreign Office. Po powrocie do Francji spędziłem kilka miesięcy na południu, w Montpellier, prowadząc badania nad substancjami otrzymanymi ze smoły węglowej. Ukończyłem je pomyślnie i jednocześnie dowiedziałem się, że już tylko jeden z moich wrogów pozostał w Londynie. Przygotowania do wyjazdu przyspieszyłem na wieść o owej głośnej Tajemnicy Park Lane. Sprawa ta nie tylko wydała mi się ciekawa sama w sobie, lecz także stwarzała niezwykle interesujące możliwości towarzyskie. Zjechałem więc jak najszybciej do Londynu i we własnej osobie pojawiłem się na Baker Street, przygotowując panią Hudson o atak hysterii. Mieszkanie i moje wszystkie papiery były, dzięki Mycroftowi, w takim stanie, w jakim je zostawiłem. I tym sposobem, drogi Watsonie, dzisiaj — dokładnie o drugiej — mogłem zasiąść moim starym fotelu, w moim starym gabinecie, pragnąc jedynie, by mój stary przyjaciel Watson zasiadł naprzeciwko w fotelu, którego tak często był ozdoba.

W kwietniowy wieczór słuchałem tej zadziwiającej opowieści, w którą pewnie bym nie uwierzył, gdyby nie widok siedzącej przede mną szczupłej postaci o wyrazistej, ożywionej twarzy, której — jak sądziłem — nie dane mi już będzie w życiu oglądać. Na swój sposób Holmes zdawał sobie sprawę, jaką żalobą okryła mnie jego śmierć, i starał się wyrazić swoje współczucie zachowaniem raczej niż słowami.

— Praca jest najlepszym lekarstwem na smutek, mój drogi Watsonie. Dzisiejszej nocy z pewnością nam jej nie zabraknie. A jeśli do tego wszystko zakończy się szczęśliwie, będzie to dowód, iż nasza egzystencja na tej planecie miała jakiś sens. — Na darmo prosiłem, by

powiedział mi coś więcej. — Nim nastanie ranek, usłyszysz i zobaczysz wystarczająco dużo. Mamy do nadrobienia całe trzy lata. To ci powinno na razie wystarczyć aż do wpół do dziesiątej, kiedy rozpocznie się nasza przygoda w pustym domu.

Poczułem się jak za dawnych czasów, kiedy zasiadłem w powozie obok Holmesa, z rewolwerem w kieszeni i dreszczem podniecenia przed czekającą nas przygodą. Holmes był chłodny, opanowany i milczący. W świetle ulicznych latarni dostrzegłem, iż pogrążony w myślach, ściągnął brwi i zacisnął wąskie usta. Nie miałem pojęcia, jaką dziką bestię będziemy ścigać w dżungli londyńskich ulic, lecz z zachowania tego wytrawnego łowcy wywnioskowałem, że czeka nas śmiertelnie niebezpieczna przygoda. A sardoniczny uśmieszek, błąkający się czasem na jego ustach, nie wróżył nic dobrego naszej ofercie.

Sądziłem, iż zmierzamy na Baker Street. Tymczasem Holmes kazał taksówkarzowi stanąć przy Cavendish Square. Zauważyłem, jak wychodząc z taksówki, rozejrzał się bardzo uważnie w prawo i w lewo, a kiedy skręcaliśmy, upewniał się na każdym rogu, czy nie jesteśmy śledzeni. Niecodzienny to był spacer. Holmes zawsze mnie zadziwiał znajomością wszystkich skrótów i zaułków w Londynie, o których istnieniu nie miałem zielonego pojęcia. Wyszliśmy w końcu na jakąś uliczkę o starych, ponurych domach, która doprowadziła nas do Manchester Street i dalej do Blandford Street. Holmes skręcił gwałtownie w maleńką przecnicę i przez drewnianą furtkę weszliśmy na czyjeś puste podwórko. Następnie otworzył kluczem tylne drzwi domu, a kiedy weszliśmy do środka, zamknął je za nami. Mimo panujących tu ciemności, czułem, że dom jest pusty. Rozeschnięte deski skrzypiały pod naszymi nogami, a tapeta na ścianie była cała w strzępach. Poczułem, jak chłodne, szczupłe palce zaciskają się wokół mojego nadgarstka i Holmes poprowadził mnie długim korytarzem aż do miejsca, gdzie dostrzegłem w ciemnościach błądy świetlik nad drzwiami. Holmes skręcił gwałtownie w prawo i znaleźliśmy się w wielkim, kwadratowym, całkiem pustym pokoju. Jego kąty tonęły w całkowitej ciemności, lecz środek rozjaśniała smuga światła z ulicznej latarni. Nie zauważyłem w pokoju żadnej lampy. Szyby pokrywała gruba warstwa kurzu. Mogliśmy jedynie rozróżnić zarysy swoich postaci. Mój towarzysz położył mi dłoń na ramieniu i wyszeptał do ucha:

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

— To z pewnością Baker Street — odparłem, wyglądając przez zakurzone okno.

— Rzeczywiście. Jesteśmy w Camden House, dokładnie naprzeciw naszej dawnej siedziby.

— Ale po co tu przyszliśmy?

— Ponieważ mamy stąd wspaniały widok na tę malowniczą budowlę. Czy mógłbym cię prosić, drogi Watsonie, abys przysunął się do okna, ale tak, by nikt z zewnątrz nie mógł cię zobaczyć. A teraz spójrz tam, gdzie rozpoczęło się tak wiele naszych przygód. Zobaczymy, czy w ciągu tych trzech lat nie straciłem zdolności zadziwiania cię.

Wyrząłem ostrożnie na zewnątrz, a kiedy mój wzrok padł na nasze dawne okno, aż krzyknąłem ze zdumienia. Pokój był jasno oświetlony, a roleta spuszczone. Padał na nią wyraźny cień człowieka siedzącego w fotelu. Nie mogło być mowy o pomyłce. Pochylenie głowy, kształt ramion, ostre rysy twarzy odwróconej profilem — do złudzenia przypominały sylwetki z upodobaniem oprawiane w ramki przez naszych dziadków. Ta była idealną podobizną Holmesa. Aż wyciągnąłem rękę, by się przekonać, czy prawdziwy Holmes nadal stoi koło mnie. Stał i trząsał się ze śmiechu.

— No i co?

— Dobry Boże! — krzyknąłem. — Doskonały pomysł!

— Jak widzisz, moja inwencja nie wygasa wraz z upływem czasu. — Wyczułem w jego głosie radość i dumę artysty na widok własnego dzieła. — Całkiem jak ja, prawda?

— Byłbym nawet gotów przysiąc, że to ty.

— Wykonanie jest zasługą monsieur Oskara Meunier z Grenoble.

Rzeźbił to woskowe popiersie kilka dni. Resztę przygotowałem sam dziś po południu.

— Ale po co to wszystko?

— Ponieważ, drogi Watsonie, bardzo mi zależało na tym, aby pewne osoby myślały, że jestem w domu, podczas gdy ja byłem całkiem gdzie indziej.

— Podejrzywałeś, że mieszkanie jest pod obserwacją?

— W i e d z i a ł e m, że jest obserwowane.

— Przez kogo?

— Przez moich starych wrogów, Watsonie. Uroczę towarzystwo, którego przywódca spoczywa na dnie Wodospadu Reichenbacha. Pamiętaj o tym, że oni, i tylko oni, wiedzieli, iż nadal żyję. Spodziewali się, że prędzej czy później pojawię się w mieszkaniu. Cały czas mieli je na oku i oczywiście zauważyli mój dzisiejszy powrót.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ widziałem z okna jednego z nich. Dość niegroźny osobnik o nazwisku Parker. Z zawodu — dusiciel, a do tego wirtuoz drumli. Nie przejąłem się nim. O wiele bardziej obawiałem się tego, który stał za nim — serdecznego przyjaciela Moriarty'ego, człowieka, który zrzucił na mnie kamienie na ścieżce w górach — najgroźniejszego przestępcy w Londynie. On właśnie zapoluje na mnie tej nocy, Watsonie. Lecz nie wie o jednym — że my zapolujemy na niego.

Mój przyjaciel powoli odkrywał swój plan. I w ten sposób, obserwowani podglądali z bezpiecznej kryjówki obserwujących, a tropieni przyglądali się tropiącym. Kanciasty cień na rolecie był przynętą, a my — myśliwymi. Stojąc w ciemnościach, patrzyliśmy w milczeniu na ludzi przechodzących obok naszej kryjówki. Holmes stał nieruchomo. Wiedziałem jednak, że z największą uwagą obserwuje przechodniów. Noc była pochmurna i zimna, a po ulicach hulał wiatr. Jak na taką pogodę, sporo osób kręciło się na zewnątrz. Otuleni w płaszcze i szale nadchodzili pospiesznie to z jednej, to z drugiej strony. Raz czy dwa zdawało mi się, że podobną postać widziałem już wcześniej. Zwróciłem zwłaszcza uwagę na dwóch mężczyzn, stojących w bramie kilka domów dalej. Zachowywali się tak, jakby szukali w niej osłony przed wiatrem. Próbowałem powiedzieć o nich mojemu przyjacielowi, ale przerwał mi zniecierpliwiony i dalej uważnie obserwował ulicę. Parokrotnie zadreptał w miejscu i zabębnił palcami w ścianę. Czuję, że denerwuje się coraz bardziej i że plan nie układa się po jego myśli. Wreszcie, tuż przed północą, kiedy ulica już prawie się wyludniła, zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami, nie kryjąc irytacji. Właśnie miałem zrobić uwagę na ten temat, gdy wzrok mój padł na oświetlone okno naprzeciwko. I znowu oniemiałem. Chwyciłem Holmesa za rękę i przyciągnąłem do okna.

— Cień się poruszył! — krzyknąłem.

Postać w oknie nie siedziała już do nas profilem, lecz tyłem.

Minione trzy lata nie utemperowały gwałtownego charakteru Holmesa. Nie przybyło mu cierpliwości, ale też nie ubyło ani trochę dawnej inteligencji.

— Oczywiście, że się poruszył. Watsonie, czyżbyś uważał mnie za marnego partacza, który wystawia w oknie sztywną mumię i liczy, że jedni z najsprytniejszych ludzi w Europie dadzą się na to nabrać? Siedzimy tu od dwóch godzin i pani Hudson zmieniała pozycję rzeźby już osiem razy, dokładnie co kwadrans. Zawsze staje poza zasięgiem lampy, żeby jej cień nie padał na roletę. Psss! — syknął Holmes, wstrzymując oddech. W słabym świetle zobaczyłem, jak wyciąga szyję i zastyga w tej pozycji, nasłuchując. Ulica była całkiem pusta. Tych dwóch być może nadal chowało się w bramie, lecz tym razem byli niewidoczni. Wokół panowała cisza, a jedynym jasnym punktem w ciemnościach był żółty ekran z ciemną sylwetką pośrodku. Znowu usłyszałem syk, jaki Holmes wydawał jedynie w chwilach najwyższego napięcia. Nagle chwycił mnie za rękę i pociągnął w najciemniejszy kąt pokoju. Jednocześnie drugą rękę położył mi ostrzegawczo

na ustach. Czułem, jak drżą mu palce. Jeszcze nigdy nie widziałem mojego przyjaciela w takim stanie. A tymczasem ulica nadal była pusta.

Lecz oto dotarło do mnie to, co Holmes swym wyostrzonym słuchem wyłowił już wcześniej. Niski, stłumiony dźwięk dochodzący wcale nie od strony Baker Street, lecz z zaplecza domu, w którym się przyczailiśmy. Jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły. Chwilę potem w korytarzu rozległy się kroki. Intruz starał się stąpać jak najciszej, lecz w pustym domu każdy odgłos rozbrzmiewał echem. Holmes przykucnął oparty o ścianę. Zrobiłem to samo, zaciskając dłoń na rękojeści rewolweru. W końcu na tle otwartych drzwi wypatrzyłem, o jeden odcień od nich ciemniejszy, zarys męskiej sylwetki. Mężczyzna stał chwilę, a potem na czworakach zaczął się przesuwać w głąb pokoju. W pewnym momencie dzieliły go od nas nie więcej niż trzy jardy i już zacząłem się szykować do starcia, gdy uświadomiłem sobie, iż nie zdaje on sobie sprawy z naszej obecności. Minął nas, zbliżył się do okna i wolno, bezszelestnie uniósł je nieco w górę. Światło latarni, które mogło się teraz bez przeszkód dostać do środka, padło na jego twarz. Z trudem panował nad nerwami. Oczy błyszczały mu z emocji, a szczęki pulsowały. Był to starszy człowiek. Miał spiczasty, długi nos, wysokie, łysiejące czoło i sumiaste wąsy. Szapoklak zsunął na tył głowy, a spod rozchylonego płaszcza połyskiwała biała, elegancka koszula. Jego wychudzona, śniada twarz pobrużdżona była głębokimi zmarszczkami, które nadawały jej wyraz okrucieństwa. W rękach trzymał coś przypominającego patyk, lecz kiedy kładł go na ziemi, rozległ się metaliczny szczęk. Z kieszeni płaszcza wyjął jakiś pękaty przedmiot i chwilę przy nim majstrował. Efektem tej pracy było głośne kliknięcie, jakby sprężyna bądź rygiel wskoczyły na swoje miejsce. Ciągłe klęcząc na podłodze, pochylił się i całym ciałem oparł na jakiejś dźwigni. Rozległ się przeciągły zgrzyt, a po nim znów kliknięcie, tym razem o wiele głośniejsze. Mężczyzna wyprostował się i zobaczyłem, że w rękach trzyma karabin o jakiejś dziwnej kolbie. Otworzył zamek, włożył coś do środka i zaryglował. Znów uklęknął i oparł lufę na parapecie otwartego okna. Zauważyłem, że kiedy przyłożył oko do celownika, jego długie wąsy opadły na trzon karabinu. Wydał cichy pomruk zadowolenia i przycisnął do ramienia kolbę. Zobaczyłem, że ów zadziwiający cel — czarna postać na żółtym tle — znalazł się dokładnie na jego muszce. Znieruchomiał i po chwili nacisnął spust. Rozległ się dziwny świst, a po nim odgłos tłuczonego szkła. W tym momencie Holmes skoczył do przodu jak tygrys, przygniatając mężczyzną twarzą do ziemi. Lecz ten już po chwili był na nogach i gwałtownym ruchem chwycił Holmesa za gardło. Wówczas uderzyłem go rękojeścią mojego rewolweru i rozciągnął się na podłodze jak długi. Na wszelki wypadek przycisnąłem go do ziemi swoim ciężarem, by znowu nie wstał. W tym czasie mój przyjaciel wyjął gwizdek i na jego dźwięk rozległ się na chodniku tupot butów. Do pokoju wpadło dwóch policjantów i jeden cywil.

— Czy to ty, Lestrade? — zapytał Holmes.

— Tak, panie Holmes. Zająłem się tą sprawą osobiście. Cieszę się, że wrócił pan do Londynu.

— Sądzę, że przyda się panu nieoficjalna pomoc w śledztwie. Trzy nie wyjaśnione morderstwa w jednym roku — to kiepski bilans. Ale sprawę Tajemnicy Moleseya poprowadził pan bez swojej zwykłej... to znaczy, chciałem powiedzieć, że poprowadził ją pan całkiem nieźle.

Podnieśliśmy się wszyscy na nogi. Nasz więzień ciężko dyszał. Dwaj krzepcy policjanci przytrzymywali go z obu stron. Na ulicy pojawili się już pierwsi gapie. Holmes podszedł do okna, zamknął je i spuścił roletę. Lestrade wyjął skądś dwie świece, a policjanci zapalili latarki. Wreszcie miałem okazję przyjrzeć się bliżej nieznanemu. Twarz, na którą patrzyłem, była bardzo męska, lecz złowroga. Wyposażony przez Naturę w czoło filozofa i szczękę lubieżnika, miał wszelkie predyspozycje zarówno do dobra, jak i do zła. A jednak, jego zimne, niebieskie oczy, patrzące cynicznie spod wółprzymkniętych powiek, spiczasty nos i głębokie bruzdy na czole, były nieomylnym sygnałem Natury, by mieć się na baczności. Spojrzenie, w którym

nienawiść mieszała się ze zdumieniem, utkwił w Holmesie, na resztę z nas nie zwracając najmniejszej uwagi.

— Ty szatanie! — mamrotał w kółko. — Ty przebiegły, przebiegły szatanie!

— Och, pułkowniku! — odezwał się Holmes, poprawiając swój pognieciony kołnierz. — „Spotkanie kochanków uwieńczyło koniec podróży”, jak pisze poeta. Chyba nie mieliśmy przyjemności widzieć się od dnia, gdy zaszczyił mnie pan swą uwagą nad Wodospadem Reichenbacha.

Pułkownik, nadal jak w transie, wpatrywał się w mojego przyjaciela.

— Ty przebiegły, przebiegły szatanie! — To było wszystko, co potrafił powiedzieć.

— Jeszcze was sobie nie przedstawiłem, panowie — odezwał się Holmes. — Oto pułkownik Sebastian Moran, były oficer Armii Indyjskiej Jej Królewskiej Mości i najlepszy myśliwy w całym Wschodnim Imperium. Czy mam rację, pułkowniku, iż jak dotąd nikt nie pobił pańskiego rekordu upolowanych tygrysów?

Posepny mężczyzna nic nie odpowiedział. Patrzył tylko na mojego towarzysza. Z tym dzikim wzrokiem i nastroszonymi wąsami sam przypominał tygrysa.

— Aż dziw, że taki stary shikari dał się nabrać na taki prosty fortel. Przecież dobrze go pan zna. Czyż nie przywiązał pan dziecka do drzewa i nie czekał na gałęzi ze strzelbą, aż jakiś tygrys skusi się na tę przynętę? Ten pusty dom jest jak tamto drzewo, a pan jest moim tygrysem. Pewnie miał pan pod ręką kilka strzelb na wypadek, gdyby tygrysów było więcej lub — co mało prawdopodobne — zawiodło pana oko. A to są moje dodatkowe strzelby — rzekł Holmes i wskazał ręką obecnych.

Pułkownik Moran rzucił się do przodu z wściekłym okrzykiem, lecz policjanci przytrzymali go. Twarz wykrzywił mu okropny grymas. Aż przykro było na niego patrzeć.

— Przyznaję, że jednak zgotował mi pan małą niespodziankę — ciągnął Holmes. — Nie przypuszczałem, iż osobiście zjawi się pan w pustym domu. Sądziłem, że będzie pan kierował akcją z ulicy, gdzie już na pana czekał mój przyjaciel Lestrade ze swoją wesołą kompanią. Poza tym, wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Pułkownik Moran zwrócił się do policjanta:

— Niezależnie od tego, czy ma pan podstawy do aresztowania mnie, czy też nie, nie widzę powodu, dla którego mam być narażony na kpiny ze strony tego osobnika. Skoro jestem w rękach stróżów prawa, życzę sobie, by wobec mnie też go przestrzegano.

— No cóż, dość słuszne żądanie — odparł Lestrade. — Holmes, czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia, zanim odjedziemy?

Holmes podniósł z ziemi potężny karabin i studiował jego budowę.

— Rzadka i godna podziwu broń — stwierdził. — Bezgłośna, o dalekim zasięgu. Znałem von Herdera, niewidomego niemieckiego konstruktora, który ją zbudował na zlecenie profesora Moriarty'ego. Wiedziałem od lat o jej istnieniu, lecz dotychczas nie miałem okazji jej widzieć. Polecam ją pana uwadze, Lestrade. A zwłaszcza proszę zbadać rodzaj kul, jakimi można z niej strzelać.

— Proszę nam zaufać, panie Holmes. Już my się tym zajmiemy — zapewnił go Lestrade. Całe towarzystwo zaczęło się kierować do wyjścia.

— Czy to już wszystko, panie Holmes?

— Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, jaki zarzut postawi pan aresztowanemu?

— Jaki zarzut? Ależ, oczywiście, usiłowanie zamordowania Sherlocka Holmesa.

— Ależ nie, Lestrade. Nie życzyłbym sobie, by moje nazwisko było w ogóle wymieniane w tej sprawie. Zasluga tego nadzwyczajnego aresztowania przypada panu i tylko panu. Tak,

Lestrade, szczerze panu gratuluje! Dzięki pańskiemu sprytowi i pomyslowości udało się wreszcie go złapać.

— Złapać go! Kogo złapać, panie Holmes?

— Człowieka, którego na próżno poszukiwała policja w całym kraju — pułkownika Sebastiana Morana, który zabił sir Ronalda Adaira z tego oto karabinu. Strzelał przez otwarte okno z drugiego piętra Park Lane 427, trzydziestego dnia ubiegłego miesiąca. Tak powinno brzmieć oskarżenie, Lestrade. A teraz, mój Watsonie, jeśli nie będzie ci przeszkadzał przeciąg z rozbitego okna, myślę, że półgodzinna pogawędka w moim gabinecie i cygaro dobrze ci zrobią.

Gabinet wyglądał jak dawniej. Było to zasługą Mycrofta Holmesa i naszej gospodyni pani Hudson. Co prawda, zaraz po wejściu zauważyłem, że wszędzie panował przesadny porządek, lecz charakterystyczne elementy mieszkania pozostały nie zmienione. W kątku chemicznym nadal stał poplamiony kwasami stół z jasnego drewna, a na półce rząd wspaniałych materiałów źródłowych, które większość naszych współobywateli najpewniej by spaliła. Diagramy, futerał na skrzypce, wieszak na fajki, a nawet perski pantofelek na tytoń — wszystko, ku mej radości, było na swoim miejscu. Przy wejściu powitała nas rozpromieniona pani Hudson. W pokoju znajdowała się jeszcze jedna postać — dziwna figura, która odegrała tak ważną rolę w wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. Była to perfekcyjnie wykonana woskowa podobizna mojego przyjaciela. Stała na nocnym stoliku owinięta w ulubiony szlafrok Holmesa. Widziana z ulicy, do złudzenia przypominała swój pierwowzór.

— Mam nadzieję, pani Hudson, że zachowała pani wszystkie środki bezpieczeństwa — powitał Holmes gospodynię.

— Podchodziłam do niego na kolanach, zgodnie z pańskim poleceniem, panie Holmes.

— Doskonale. Świetnie się pani spisała. Czy zauważyła pani może, gdzie utkwiała kula?

— Tak, proszę pana. Obawiam się, iż naruszyła pańskie wspaniałe popiersie. Przebiła głowę i uderzyła w ścianę. Znalazłam ją na podłodze. Proszę, oto ona!

Holmes pokazał mi pocisk.

— Zwykła kula pistoletowa, Watsonie. Genialny pomysł. Komu przyszłoby do głowy, że takie coś mogło zostać wystrzelone z karabinu? Jestem pani wdzięczny za pomoc, pani Hudson. A teraz, Watsonie, czy zechciałbyś zająć swoje zwykłe miejsce, ponieważ muszę omówić z tobą kilka spraw.

Zrzucił zniszczony płaszcz i zdjął ze swojej podobizny stary szlafrok w mysim kolorze. Kiedy go włożył, znów zobaczyłem przed sobą dawnego Holmesa.

— Nerwy starego shikari są nadal w dobrym stanie, podobnie jak jego wzrok — stwierdził Holmes ze śmiechem, oglądając swoje strzaskane popiersie. — Kula trafiła w sam środek głowy i przeszła mózg. Był najsławniejszym myśliwym w Indiach. A w Londynie na palcach można by zliczyć lepszych od niego. Słyszałeś o nim wcześniej?

— Nie słyszałem.

— Tak, tak. Różnie to bywa ze sławą! Lecz, o ile dobrze pamiętam, kiedyś nie słyszałeś także o profesorze Jamesie Moriarty, jednym z największych umysłów naszego stulecia. Podaj mi z półki indeks biograficzny.

Wygodnie oparty w fotelu, powoli odwracał strony, wydmuchując gęste kłęby dymu z cygara.

— Moja kolekcja na „M” przedstawia się zaiste imponująco. Już sam Moriarty mógłby stanowić ozdobę każdego zbioru, a tu jeszcze mam Morgana — truciciela, odrażającego Merridewa i Mathewsa, który wybił mi lewy kiel w poczekalni przy Charing Cross, i w końcu nasz dzisiejszy gagatek.

Podał mi książkę. Oto co w niej wyczytałem:

Moran, Sebastian, pułkownik. Nie zatrudniony. Uprzednio w pierwszym oddziale Bangalore Pioneers. Urodzony w Londynie w 1840 roku, syn sir Augustusa Morana, C. B., byłego ministra brytyjskiego w Persji. Uczył się w Eton i Oxfordzie. Służył w kampanii w Jowaki, Afganistanie, Charasiabie, Sherpurze i Kabulu. Autor „Grubej zwierzyny Zachodnich Himalajów (1881); „Trzech miesięcy w dżungli” (1884). Adres: Conduit Street. Kluby: Angielsko-Indyjski, Tankerville, Klub Karciany Bagatelle.

Na marginesie była notatka napisana ręką Holmesa: „Drugi najniebezpieczniejszy człowiek w Londynie”.

— To zadziwiające — powiedziałem, oddając Holmesowi książkę. — Można powiedzieć, że to kariera wzorowego żołnierza.

— To prawda — zgodził się Holmes. — Do pewnego momentu tak właśnie było. Miał stalowe nerwy i w Indiach do dziś krąży historia, jak czołgał się kanałem nawadniającym w pogoni za tygrysem—ludojadem. Są takie drzewa, Watsonie, które rosną normalnie tylko do pewnej wysokości, a potem niespodziewanie puszczają dzikie pędy. Często można to zaobserwować u ludzi. Mam teorię, Watsonie, iż rozwój człowieka jest uwarunkowany całym łańcuchem jego przodków. I takie nagłe przestawienie się w kierunku dobra lub zła ma swoją przyczynę gdzieś w rodowodzie. Wszyscy jesteśmy, w pewnym sensie, zbiorem cech naszych przodków.

— Dość oryginalna teoria, muszę przyznać.

— No cóż, nikomu jej nie narzucam. W każdym razie, niezależnie od przyczyn, pułkownik Moran zszedł na złą drogę. I choć nie wywołał żadnych głośniejszych skandali, w Indiach zaczęło mu się palić pod nogami. Odszedł z wojska i wrócił do Londynu. Tu równie szybko zyskał złą sławę. Wtedy właśnie odszukał go profesor Moriarty, który przez pewien czas służył pod dowództwem Morana. Moriarty hojnie mu zapłacił i zlecił kilka robót najwyższej klasy, których zwykły kryminalista nigdy by się nie podjął. Może przypominasz sobie sprawę zagadkowej śmierci pani Ste—wart z Lauder w 1887 roku. Nie? No cóż, jestem przekonany, że Moran maczał w tym palce, lecz nie mogę tego udowodnić. Pułkownik przez cały czas ukrywał się tak umiejętnie, że nawet kiedy rozpracowaliśmy gang Moriarty’ego, jego nie udało nam się aresztować. Może przypominasz sobie, jak kiedyś, podczas wizyty u ciebie zamknąłem okiennice, bojąc się, że ktoś może do nas strzelać. Niewątpliwie uznałeś to za nadmiar wyobraźni, a jednak nie zrobiłem tego bez powodu. Wiedziałem o istnieniu tej niezwyklej broni i o tym, że jest ona w posiadaniu jednego z najlepszych strzelców świata. W Szwajcarii śledził nas razem z Moriartym i jemu, z pewnością, zawdzięczam tamte niezapomniane chwile nad Wodospadem Reichenbacha.

Możesz sobie wyobrazić, z jaką uwagą śledziłem prasę podczas pobytu we Francji, by trafić na jego ślad. Tak długo, jak człowiek ten przebywał na wolności, moje życie w Londynie było jednym koszmarem. Przez cały czas czułem się zagrożony. Ale cóż mogłem zrobić? Nie mogłem go zastrzelić publicznie, bo wtedy sam znalazłbym się na ławie oskarżonych. Nie mogłem wnieść sprawy do sądu, ponieważ odrzucono by ją jako opartą na samych podejrzeniach. Nie mogłem zrobić nic. Pozostało mi śledzenie kronik kryminalnych. Czułem bowiem, że prędzej czy później dopadnę go. I właśnie wtedy usłyszałem o śmierci Ronalda Adaira. Nadeszła moja chwila. Czy mogłem mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że pułkownik Moran był za nią odpowiedzialny? To on grał w karty z chłopakiem, śledził go aż do samego domu i zastrzelił przez otwarte okno. Wszystko było dla mnie jasne. Sama kula była wystarczającym dowodem, by założyć mu stryczek. Pojechałem natychmiast na miejsce zbrodni. Pozwoliłem, by zauważył mnie wartownik. Byłem pewien, że zamelduje o tym Moranowi. Ten na pewno skojarzy sobie mój nagły powrót ze swoją zbrodnią i będzie próbował pozbyć się mnie n a t y c h m i a s t, używając do tego swej morderczej broni. Ustawiłem w oknie mojego gabinetu przynętę i poprosiłem

policję o wsparcie. A tak przy okazji, Watsonie, wypatrzyłeś ich swym niezawodnym okiem. Zająłem dogodną pozycję obserwacyjną, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie liczyłem na to, że pułkownik wybierze to samo miejsce do swojego ataku. Czy teraz, drogi Watsonie, rozumiesz już wszystko?

— Tak, lecz nadal nie wiem, dlaczego pułkownik Moran zamordował sir Ronalda Adaira.

— Och! mój drogi Watsonie, tu wkraczamy w świat domysłów, gdzie nawet najbardziej logiczny umysł może zbłądzić. Każdy z nas mógłby sformułować własną hipotezę na podstawie tych samych faktów i nie ma możliwości sprawdzenia, która okazałaby się tą właściwą.

— A więc jednak masz jakąś hipotezę?

— Sądzę, że dość łatwo można wyjaśnić to, co zaszło. Śledztwo ujawniło, że pułkownik Moran i młody Adair wygrali wspólnie pokaźną sumę pieniędzy. Moran na pewno oszukiwał. Od dawna już o tym wiedziałem. Myślę, że Adair zorientował się w tym w dniu morderstwa. Prawdopodobnie, w rozmowie na osobności zagroził Moranowi, że go wyda, jeśli pułkownik nie zrezygnuje dobrowolnie z członkostwa w klubie i nie obieca, że na zawsze skończy z kartami. Nie sądzę, by człowiek tak młody jak Adair zdobył się od razu na wywołanie skandalu w stosunku do tak znanej i o tyle od niego starszej osobistości, jaką był Moran. Najprawdopodobniej postąpił tak, jak już mówiłem. Wyrzucenie z klubu zrujnowałoby Morana, który żył ze swoich karcianych oszustw. Zamordował więc Adaira w chwili, gdy ten obliczał sumę, jaką powinien zwrócić, by nie mieć nic wspólnego ze swoim partnerem-oszustem. Zamknął drzwi na klucz, by nie przeszkodziły mu panie, które z pewnością chciałyby wiedzieć, co robił z tymi wszystkimi nazwiskami i monetami. I jak ci się to podoba?

— Nie mam wątpliwości, że tak właśnie było.

— Sąd przyjmie lub odrzuci tę wersję. Ale teraz niech się dzieje, co chce! Pułkownik Moran już nam nie zagraża. Sławny karabin von Herdera wzbogaci Muzeum Scotland Yardu, a pan Sherlock Holmes znów będzie mógł się poświęcić rozwiązywaniu różnych interesujących problemów, w które tak obfituje bujne życie Londynu.